№ 5.

WARSZAWA DNIA 20 Stycznia / 1 Lutego Rok 1868.



W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Małżeństwo artysty.

„Zapytujesz mię szanowny przyjacielu i mistrzu, dla czego się nie żenię? Powodowany życzliwością, pragniesz najmocniéj, żeby jaki powabny i bogaty związek, mógł mię uszczęśliwić. Pisząc właściwym sobie sposobem, poruszyłeś moje serce i to mi dało powód, do zastanowienia się nad własnem położeniem, oraz zbadania czyli rzeczywiście ożenić się mogę? Przyczyny przytaczasz słuszne, nie miałbym nic im do zarzucenia, gdyby znów z drugiéj strony, życie artysty, wymagające może wyłącznego zajęcia się swoim przedmiotem, charakter mój i usposobienie, nie zatrzymywały mię na stanowisku kawalerskiem. Obawiam się, — jestem prawie pewny, że za twojemi radami, w tym razie, nie pójdę...“

Mężczyźnie piszącemu te wyrazy, przeszkodziło nagłe wejście gościa, który zameldować się nie kazał.

Mężczyzna piszący w saméj sile wieku nie odznaczał się pięknością, ale rysy jego twarzy miały powab pojętności i dowcipu, który uwielbiamy w portretach wielu osób z czasów Ludwika XIV. Owal jego twarzy był nieco pospolity, cera może zbytecznie rumiana, nos może za gruby, ale za to ciemne oczy błyszczały rozumem i pociągały dobrocią. Dodawszy do tego silną postawę i kształtną, a przedstawi nam się postać męzka, któréj praw do powodzenia, słusznie odmówić nie można było. Ów zwolennik kawalerskiego stanu, odziany był w szlafrok z zielonéj jedwabnéj materji, mieniącéj się różowo; na głowie miał czapeczkę popielatą aksamitną, która kształtem przypominała togę prezesa pierwszéj izby.

Gość zaś nowo przybyły, miał zupełnie odmienną postawę. Był wysoki, szczupły, wysmukły, wykwintny. Twarz ściągła, cera bladawa, piękne oczy, delikatne białe ręce, noga kształtnie się uwydatniająca, w jedwabnych pończochach z haftowanemi klinami,— to wszystko robiło go nader powabnym. Miał na sobie frak czarny aksamitny, ubrany pasmanterją jedwabną, kamizelkę długą z atłasu koloru wiśniowego, mieniącego się biało, haftowana złotem, ze złotemi guzikami w kształcie bombelek. Krawat biały batystowy, oszyty koronką kosztowną. Pantalony czarne aksamitne objęte powyżéj kolan złotą plecionką, spiętą na brylantowe klamerki. Trzewiki na obcasach, zdobne w ruszą ze wstążki, uzupełniały ten strój wyszukany.

Byli to dwaj sławni malarze francuzcy z czasów Ludwika XIV pan domu nazywał się Hyacynt Rigaud, a gość jego Largillière, po za którym wsunęła się mała figurka, trzymająca w ręku ogromną perukę. Ten mały człowieczek z pyszczkiem łasicy, okiem przebiegłem, nosem spiczastym lokaj Rigaud'a, nazwiskiem Bourguignon, uosobistniał złośliwość, ale i wierność opisanéj przez Moljera familii lokajów, owych Kryspinów i Maskarilów, którzy późniéj także w postaci Figara na scenie się ukazując, nieśmiertelność sobie zdobyli.

Podczas gdy panowie rozmawiali, Bourguignon pokręciwszy się po pokoju, umieścił perukę na drewnianéj, czarno pomalowanéj głowie, poczem zbliżywszy się do swego pana, wręczył mu, z głębokim ukłonem, złożoną kartkę papieru.

Rigaud rzuciwszy okiem na rachunek, skrzywił się nieco i rzekł do swego przyjaciela:

— Uważasz Largillière, chcę być modnym!

— To dla ciebie ta peruka? Ty będziesz nosił białe włosy, co znowu!

— Largillière, mój drogi, wiesz dobrze jak rzeczy stoją w Wersalu. Gdy się król zestarzał nie cierpi tego, co mu przypominą młodość; nadewszystko nieznośne mu są czarne i blond włosy, dał już to poznać. Tylko białe włosy teraz popłacają, podrożały też ogromnie, bo ich wszyscy żądają; fryzjery rady sobie dać nie mogą, rozesłali po całéj Francji gońców, by strzydz i golić wszystkich starych ludzi.

— Jak to ładnie będzie się wydawało na naszych obrazach, odpowiedział Largillière wzruszając ramionami: twarz dwudziestoletnia, a włosy sześćdziesiątletniego! Co za piękna harmonja!

— Eh! damy sobie i z tem rady. Lecz mówiąc o obrazach, muszę ci też powiedzieć, że tylko co, odprawiłem ztąd pewną damę sposobem trochę niegrzecznym to prawda, ale już mię tak zniecierpliwiła, że wytrzymać nie mo-

głem. Siadaj, proszę cię, ja się tymczasem ubiorę, a potem pójdziemy razem odwiedzić biednego Mignarda, który podobno umrzeć zamyśla...

Bourguignon zbliżył się, i z usłużnością pełną uszanowania, dopomagał panu do załatwienia wymagań toaletowych, który ubierając się, opowiadał co następuje:

— Wystaw sobie, pewnego poranku pani Darcourt, żona finansisty, ale ty ich znasz także, obudziła się z nieszczęsną myślą, przekazania potomności swego wizerunku, i mnie wybrała do uwiecznienia tego pomnika. Prosi, męczy, nagli; opieram się jak mogę... wiesz jaka ona jest brzydka.. jéj twarz to dynia pobielona, i po wierzchu pomalowana karminem. W końcu uległem. Przybywa do mojéj pracowni, stroi minki, układa buzię. Pierwsze posiedzenie przeszło jako tako, ale na drugiem rozpoczynają się uwagi. „Panie Rigaud, usta wydają mi się za duże... Tymczasem ma je tak wielkie, że z łatwością przez nie przelazłaby moja paleta. „Panie Rigaud, oczy mi pan zrobiłeś o połowę mniejsze.“ Oczki jéj to jak u borsuka. „Panie Rigaud nos za gruby...“ Nosem jéj to nawet Szwajcar by się poszczycił. Wściekałem się, jak łatwo zgadnąć, nareszcie skończyło się i drugie posiedzenie. Dzisiaj znowu moje straszydło przybywa. Byłem zamyślony, zmartwiony chorobą Mignard'a. Biorę z niechęcią za pędzel, a pani Darcourt wytrząsa krytyki z rękawa. Nareszcie na dobitkę powiada: „Zdaje mi się, panie Rigaud że pan używasz bardzo złych farb, tak są blade, bez świeżości, bez życia.“ Tego już było nadto, przebrała się miarka mojéj cierpliwości. Zawołałem: „Jak mi Bóg miły! to co słyszę bardzo mię zadziwia, bo z pewnością pani i ja, kupujemy farby do malowania twarzy, u tego samego kupca.“

Gdybyś był widział tę scenę, tak samo kładłbyś się od śmiechu, jak ja na jéj wspomnienie. Zerwała się z krzesła, oburzona i wzgardliwa, i wyszła krokiem rozgniewanéj Junony.

Gdy Rigaud skończył się ubierać, oba przyjaciele wyszli; Bourguignon zaś sam pozostawszy, zaczął następujący monolog:

„Chwała Bogu że poszli. Szynkarz z *Puits sans vin* (kalambur bardzo popłacany na szyldach paryzkich), mówił mi, że odebrał pewne smaczne winko z Arbois—będę miał czas wypić buteleczkę... Pójdźmy więc—ale cóż kiedy obiecałem Comptoemu, że będę na niego czekał. A może nie przyjdzie, może nie ma czasu? — Gdyby choć wiedział na pewno nasz nowy adres, toby wstąpił kiedy wieczór. Zresztą, nim zaproszę kogo na wino, to go muszę sam pierwéj skosztować. Comptoa jest smakosz. Żeby przynajmniéj daremnie po ulicy nie biegał, i wiedział gdzie mnie szukać, wychodząc napiszę kredą na bramie imię mego pana: *Rigaud malarz*. Tak będzie najlepiéj, bo albo na mnie poczeka, albo też przyjdzie drugi raz.“

Bourguignon zrobił jak powiedział; następnie poszedł do szynku, gdzie tak przyjemnie czas przepędzał, iż pan wróciwszy w parę godzin do domu, nie zastał go jeszcze. Było bardzo gorąco; malarz gniewając się na swego sługę, zdjął wykwintne ubranie, włożył lekką bluzę i zamierzał wejść do pracowni. Tymczasem usłyszawszy, że ktoś stuka do drzwi wchodowych, otworzył je, i ujrzał wysokiego lokaja w liberji, który się go zapytał, czy on jest malarzem?

— Tak, mój kochany.

— Zobaczyłem imię pana wypisane na bramie; ponieważ moja pani kazała mi przyprowadzić malarza, żeby podłogi wymalował, wszedłem tutaj..

— Ale to się mnie nie tyczy, mój kochany.

— Moja pani dobrze zapłaci. Chciałaby dom odnowić, teraz, gdy już zrzuciła żałobę.

— Po kimże twoja pani w żałobie?

— Po mężu; dwadzieścia lat mając, została wdową. Mięszka tu blisko.

— Czy ładna?

— Jak złoto.

— No to pójdę z tobą mój chłopcze, zawołał Rigaud rozweselony.

I poszli. Wprowadzono go najprzód do przedpokoju, potem do sali jadalnéj, gdzie poczekał kilka minut. Zabawiła go ta mała przygoda. Gdy rozmyślał jak się naśmieje z pomyłki lokaja, weszła pani domu: pani Leterrier, wdowa po bogatym prokuratorze parlamentu. Była to osoba przystojna, twarz jéj ożywiał wyraz wesołości, czarne oczy błyszczały dowcipem, kibić wysmukła, zręczna, tem lepiéj się wydawała, że nie miała na sobie obrzydłego robronu, który tak szpecił kobiety ówczesne.

Młodą wdowę widocznie zadziwiła postawa i ukłon przybyłego malarza, popatrzywszy jednak na niego przez chwilę, rzekła:

— Kazałam pana wezwać, żebyś mi pomalował posadzkę w téj sali. Jeżeli będę zadowoloną z téj małéj roboty, dam panu inną jeszcze. O cenę się nie pytam, według zwyczaju nieboszczyka męża mego, każę robotę pana ocenić przysięgłemu architektowi.

Rigaud powstrzymywał się jak mógł od śmiechu. Przyszła mu ochota awanturkę daléj poprowadzić. Ukłoniwszy się więc z uszanowaniem odpowiedział:

— Nie wiem czy pani pozwoli, zrobić sobie jedną uwagę?

— Dobrze mój kawalerze.

— Jeżeli odnowię posadzkę, to lamperje drewniane, które już glans straciły, będą się wydawały, jeszcze bardziéj zniszczone.

— Rozumiem do czego pan zmierzasz, zawołała śmiejąc się, — chcesz mię narazić na wydatki.

— Bynajmniéj pani, — za odnowienie całéj sali, nie będę żądał więcéj, jak nie jeden z moich kolegów, wziąłby za wymalowanie saméj posadzki. Mam na to zupełnie nowe sposoby, tylko mnie znane. Niech pani mi zaufa...

— Dobrze, niechaj tak będzie, wyglądasz pan na uczciwego i rzetelnego człowieka; kiedyż więc zaczniesz robotę?

— Zaraz jutro, od samego rana.

Rigaud ukłoniwszy się wyszedł. Za powrotem do domu tak się cieszył, jak student co komu psotę wyrządzi. Wypytał się Bourguignon'a o powody pomyłki, i zamiast go wyłajać, jak się ten spodziewał, dał mu tylko kilka listów, które na prędce napisał, do oddania podług adresów.

Nazajutrz wstał równo z dniem, ubrał się w prostą bluzę. Nadeszło trzech jego najlepszych uczniów, zadziwionych niepomału, że ich tak rano do siebie wezwał.

— Moi kochani, rzekł Rigaud, bądźcie tak dobrzy i pozrzucajcie waszą odzież, a weźcie na siebie te oto bluzy, abyśmy wyglądali jak malarze co domy malują.

Wypełnili natychmiast życzenie mistrza, nie dopytując się nawet, jakie mu projekta po głowie się snuły. Ale ten, opowiedział im wszystko prosząc o pomoc; objaśnił role jakie im odegrać należy, podał za jedyny cel przebrania, chęć zabawienia się z napotkanéj przygody, i zastrzegł sobie tajemnicę do czasu. Poczém wesoło pociągnęli przez ulicę, ustroiwszy mistrza w papiérowy kapelusz, tradycjonalne godło rzemiosła. Weszedłszy do wyznaczonéj im sali, natychmiast wzięli się do roboty. Nim właścicielka wstała, podłoga była zaciągniętą, a gdy ich

nawiedziła i przystawiano właśnie drabiny dla malowania sufitu.

Na widok jéj świeżéj i ładnéj twarzyczki, przedstawiającéj się z niezwykłym powabem, Rigaud się zaczerwienił a unikając wzroku swych towarzyszy, malował zawzięcie i w najgłębszém milczeniu. Po jéj odejściu, uczniowie jakkolwiek największą czcią przejęci dla mistrza, nie mogli się powstrzymać od żartobliwych uwag, którym znów Rigaud chcąc koniec położyć, zapytał ich co wymalują na środkowéj ścianie? Jeden radził kwiaty, drugi ryby lub zwierzynę, ale Ranc ulubiony uczeń Rigaud'a, wystąpił z projektem, który zważając na okoliczności, był dość zuchwałym.

— Byłem świadkiem, rzekł, że zobaczywszy dwa razy księdza Rancé w opactwie Trapistów, dokąd pan jeździłeś z księciem Saint-Simon, zdołałeś zrobić przepyszny portret tego anachorety. Jestem pewny, że odmalowałbyś z równą łatwością portret pani Loterrier na téj ścianie,— podczas gdy my siać będziemy kwiaty na posadzce i suficie.

Pomysł ten ogólnie przyjęto; Rigaud słabo się opierał.

— Ale ja tak mało widziałem tę panią...

— To rzecz najmniejsza, odpowiedział Ranc. Poczekaj pan, temu się zaradzi.—(Zadzwonił, wszedł służący) poproś panią, niechaj będzie łaskawa pofatyguje się tutaj.

Przyszła. Ranc się pyta:

— Czy pani lubi róże?

— Bardzo.

— Róże centyfolje?

— Tak jest, centyfolje zawsze są najpiękniejsze, i najprzyjemniejszy wydają zapach.

— A te małe różyczki, co wiosną najpierwéj zakwitają, lubi je pani?

— Lubię wszystkie.

— Lecz pani..!

— Ależ moi panowie, chcecie mię zrujnować; bierzecie mnie może za jaką księżnę? Oto zaledwo mówiliśmy o różach, już kolega pana jedną prześliczną wymalował... Panie malarzu, proszę pana, nie będę wstanie tego wynagrodzić. Pan mi obiecałeś, że to nie będzie dużo kosztowało, proszę o tém pamiętać.

To mówiąc wyszła. Malarze się śmieli a pędzlami machali. Zrobiono małe rusztowanie i zasłonę z płótna, za którą Rigaud zaczął portret szkicować. Pracowali pilnie przez godzin kilka; ponieważ zaś natura jest panią wszechmogącą, i nigdy swoich praw nie zaniedbuje, apetyt wkrótce uczuć im się dawał. Delegowano jednego z pomiędzy siebie, dla zakupienia żywności; powrócił niosąc wino, chléb i szynkę. Pani Leterrier także przysłała wina dla swoich robotników, którym nie pogardzono.

Po ukończonym posiłku, robota szła daléj; ale znowu po chwili Rigaud schodzi z rusztowania poważny i zakłopotany, podpierając głowę na ręku.

— Co się panu stało? zapytał Ranc.

— Zapomniałem jaki ma nos.

— Ah! rozumiem.

Zadzwonił; znowu wszedł lokaj i znowu został po panią wysłanym.

— Pani, rzekł młodzieniec, do wchodzącéj wdowy — starożytni mieli zwyczaj, do obrazów rozkosznych i powabnych, mięszać godła smutku, dla tego, aby tem lepiéj im smakowała miła chwila obecna. Horacy nigdy nie pominął tego prawidła, za co Despreaux bardzo go wychwala....

— Nie wiem prawdziwie, o czem pan chcesz mówić... Ah! cóż to za piękna girlanda, jakie zręczne zwoje tworzy!

— O! Gdy się jeszcze jéj dotknie ręka naszego mistrza, zobaczysz pani...

— Ale jaki interes pan ma do mnie?

— Ah! tak jest, zaraz pani. Sala jadalna, oczywiście jest zbiorem wesołych zgromadzeń — czy pani życzy sobie żebyśmy szli za wskazówkami przez Horacego podanemi?

— Nie znam się na tem.

— Chciałem się właśnie zapytać, czy pomiędzy te kwiaty, wiosnę i miłość wyobrażające, możemy domięszać jakie blade, zimowe rośliny, lub liście zeschłe?

— Niechaj tak będzie.

I znikła. Rigaud pospiesznie wszedł na drabinę. Po skończonym dniu pracy, poszli wszyscy do Rigauda, salę na klucz zamknąwszy. U mistrza czekał ich suty bankiet, przy którym przesadzali się na dowcipy, żeby rozweselić zamyślonego cokolwiek gospodarza i widzącego wszędzie powabną buzię pani Leterrier.

Nazajutrz, przy pierwszem odwiedzeniu robót, pani Leterrier podziwieniem została przejętą. Wszędzie pyszne róże, bzy, bujne i świeże liście — chciała uchylić zasłony za którą Rigaud pracował, ale poprosił ją, żeby jeszcze dzień jeden się wstrzymała.

Jednakże biegłość malarzy, coraz bardziéj dziwna jéj się wydawała. W godzinach popołudniowych, przyszła razy parę z damami ją odwiedzającemi, pokazując im cuda powstające w jéj sali. Przypadek zdarzył, że pomiędzy gośćmi była pani Darcourt, owa tak niemiłosiernie wyszydzona przez Rigaud'a, która nie mogła się dość odchwalić wykonaniu ozdób. Nareście wyczerpawszy wszystkie możliwe pochwały, powiada:

— Wystaw sobie, pragnęłam żeby Rigaud mój portret odmalował, tymczasem nie mógł z nim do końca trafić. Wyraz mojéj twarzy jest tak ruchliwy, zmienny, że niepodobna w nim było podobieństwa uchwycić; musiał roboty zaniechać, i przeprosić mię zą uczyniony zawód.

— Zadziwiasz mię pani, malarz tak znakomity, nie sądzę, żeby mógł spotykać trudności w wykonaniu. Wszyscy się na to zgadzają, że to jest najpierwszy malarz portretowy naszego czasu.

— Nie wierz pani temu, on tylko celuje w draperjach, nic więcéj.

— Jakiż to człowiek, radabym bardzo go poznać.

— To jest człowiek prosty, pospolitéj fizognomii, z wielkiemi oczyma bez żadnego wyrazu; niezgrabny, krępy, przytém pełen próżności i zarozumienia.

— Ależ kochana pani, widzę, że jesteś na niego zagniewaną. Chodźmy już, bo może przeszkadzamy robocie. Z resztą wyziewy z farb mogłyby pani zaszkodzić.

Gdy obie odeszły; Rigaud wyszedł z za firanki, zły, rozgniewany, ale widząc jak się młodzież serdecznie śmiała, wziął także udział w téj wesołości.

Następnego dnia, praca postępowała a raczéj zmierzałą ku końcowi. Pani Leterrier pociągnięta przyjemnością rozmowy z malarzami, przesiedziała z niemi długą chwilę. Rigaud z po za firanki opowiadał jéj szczegóły życia artystów, mianowicie sławnych malarzy. W tém drzwi otwiérają się z łoskotém, i wpada Bourguignon wołając: „Panie Ranc, panie Ranc, posłaniec od króla!"

— Cicho bądź niedołęgo, Ranc odpowiedział.

W tejże saméj chwili wszedł do sali urzędnik dworski, ujrzawszy panią Leterrier powitał ją mówiąc:

— W imieniu króla pani, przychodzę rozmówić się z panem Rigaud, który jak mi powiedziano, u pani się znajduje.

— Pan Rigaud? powtórzyła z cicha, zadziwiona.

Zasłona spadła całkiem, a wielki artysta z szedł na dół. Widząc go dworzanin wyrzekł:

— Zawsze pana znaleźć można, przy coraz nowém arcydziele... Mignard dnia wczorajszego życie zakończył. Najjaśniejszy pan polecił mi oznajmić panu, że go wybrał na zastępcę zmarłego. Szczęśliwy jestem, że mogę najpierw powitać pana tytułem pierwszego malarza Jego Królewskiéj Mości.

— Pierwszy malarz Jego Królewskiéj Mości! powtórzyła pani Leterrier, opierając się o fotel.

— Niech pan raczy powiedzieć królowi, z jak wielkiém przejęciem się jego łaską, przyjmuję zaszczyt który mię spotyka. Za godzinę będę w Wersalu, aby złożyć wyrażenie méj wdzięczności.

Dworzanin ukłoniwszy się wyszedł, pozostawiając uszczęśliwionego Rigaud'a w objęciach uczniów jego, którzy krzyczeli na cały głos: Niech żyje król! Niech żyje król!

Malarz zbliżył się do pani Leterrier, i rzekł:

— Dom pani szczęście mi przyniósł. Czy mi wolno będzie powrócić tu jeszcze, żeby ukończyć robotę, przypuściwszy, że pani jesteś z niéj zadowoloną?

Młoda kobiéta. poskramiając ogarniające ją wzruszenie, odpowiedziała:

— Portret który już widzę na ukończeniu, uważam za cudowność sztuki, i nikt inny go nie skończy, tylko pan, skoro chcesz się jeszcze wziąść do tego.

Ranc ze łzami w oczach także zapytał, czyli i uczniowie mistrza, mieć będą wolny przystęp dla wykończenia malowideł?

Te wyrazy były wymówione głosem tak pokornym i rozrzewnionym, że pani Leterrier — wyrzekła z cicha:

— Przyjdźcie wszyscy, i wybiegła z pokoju.

W sześć miesięcy później, w téj samej sali jadalnéj, gdzie genjusz artystyczny Rigaud'a i jego uczniów, swe zasoby rozwinął, przy jarzącym blasku świéc, w obec wyborowego towarzystwa, Ranc, nieznany jeszcze wówczas malarz, wzniósł toast:

— Za pomyślność pani Rigaud! małżonki znakomitego, zarazem najlepszego Mistrza, pierwszego malarza Jego Królewskiéj Mości, Van Dyck'a Francyi!

Szczęśliwy był ten związek, który miłość i przyjaźń łączyły. Po czterdziestu latach pożycia, gdy Rigaud stracił ukochaną żonę, sam wkrótce po niéj do grobu zeszedł w roku 1743.

Ranc ożenił się z siostrzenicą Rigaud'a i wsławił się wielce w malarstwie.

Pogadanka tygodniowa.

Kronika rodzinna w numerze ósmym, zamieściła artykuł o uczoności kobiet, stanowiący odpowiedź ks. Dupanloup biskupa orleańskiego w broszurze wydanéj przez niego p. t. „Femmes savantes Femmes studieuses", na rozmaite krytyki, opierające się głównie na powadze słów pana de Maistre jako chrześcjańskiego pisarza i filozofa.

Uczony ten myśliciel pomimo całéj nauki, wielki nieprzyjaciel kobiet, zajętych więcéj kształceniem umysłu, jak uroczym powabem buzi, zgrabnością kibici, w różnych miejscach dzieł swoich a nawet w listach do własnych córek, ostrem słowem karci te szlachetne porywy ducha, dowodząc z dziwną szorstkością, że dosyć jest dla kobiet wiedzieć że Pekin nie leży w Europie, albo że Aleksander wielki nie był ożeniony z księżniczką francuzką.

Ciekawym bardzo, czyby też p, de Maistre zgodził się był chętnie, na równą co do siebie nieświadomość?

Największą wadą w kobiecie, powiada, jest zrobienie się podobną do mężczyzny, a chcąc być uczoną nie jest że to pragnąć stać mu się podobną?

Uwaga ta za zbyt pochlebna dla rodu męzkiego.

Wprawdzie berło nauki i rozumu w męzkiéj spoczywa dłoni, ale prawdziwie uczonych świat nader szczupłą posiada liczbę. Wykształcenie zaś nie jest uczonością, posiadanie jego równie zdobi jak obowiązuje, uszlachetniając serce podnosi myśl, odrywając ją z przykucia do ziemi. Czyżby kobieta miała tu stanowić wyjątek? — Czyż zachciewki do uczoności, owo pragnienie żaby wyciągającéj nogę do podkowy, nie jestże śmiesznem zarówno w mężczyznie jak w kobiecie?

Przeciwnicy wyższej nauki w kobietach, znają to dobrze mimo tego pragnąc w nich posiadać dające szczęście małżonki i matki, wychowujące dzieci na ludzi, z usilnością wytrącają książkę z kobiecéj ręki, jakby bez nauki tak ważne obowiązki życia mogły być należycie spełnione.

Dawna to walka, pełna krzyku i wrzawy, potępiająca środki a pragnąca ich następstw, którą uogólniając mimo woli nasuwa się pytanie, czy nauka stawia człowieka na właściwem mu stanowisku, i czy kobieta jest człowiekiem czy nie jest?

Odpowiedź na to, sądzę że nie trudna, jeżeli więc nauka jest uszczęśliwieniem rodu ludzkiego, dlaczegóżby i kobiety będąc ludźmi, miały być odtrącone od źródła tak ożywczego i zbawiennego w swoich skutkach? — Niechże więc czytają i uczą się, ale niech pamiętają i o obowiązkach do nich przywiązanych. Zapominanie ich dla książki, mężczyznę robi dziwakiem, kobietę śmieszną, a ani jedno ani drugie nie tworzą w życiu potrzebnéj harmonji. Prawdziwie uczonym wolno być ekscentrykami, bo produkcja ich pracy za nadto wielkiego znaczenia, aby miała być mierzona wartością praktycznych zajęć. Możność zaś stania się uczonym to dar Boży, posiadający ją należy do wyjątków, a takiego zostawmy w spokoju. Wykształconym zaś każdy być może, czego w imieniu całéj ludzkości domagamy się zarówno w kobiecie jak w mężczyznie.

Potrzeba téj wyższéj nauki i nieograniczania jéj żadnemi deklamacjami już przez część Europy oświeconéj uznaną została. Owocem tego otwieranie kolejne wszystkich akademji dla kobiet i nowy zwrot w nauce panien we Francji obecnie wprowadzony w wykonanie. Minister Duruy przekonany o zbawiennym wpływie oświaty na szczęście nie tylko jednostek, ale całéj społeczności, postanowił wychowaniu panien nadać kierunek odpowiadający wychowaniu odbieranemu tamże przez chłopców, którzy już w szkołach przyspasabiają się do odbycia późniéj kursu wyższéj nauki. W tym celu światły minister dla samych panienek urządził nauczanie niższe, a Paryż natychmiast podjął tę myśl i zawiązał odpowiednie stowarzyszenie, złożone z profesorów uniwersyteckich i ludzi znanych z nauki.

Z początkiem Grudnia kurs rozpoczął się w Sorbonie, a rozłożony na trzy lata obejmuje: literaturę, historją, geografją, ekonomję domową, prawo cywilne, nauki przyrodzone i matematykę. Po wysłuchaniu trzechletniego kursu, dyplom z ukończenia go ma być udzielany uczennicom, nie pierwéj jednak aż po odbytym egzaminie przed osobną wyznaczoną komissją. Pomimo wysokiéj opłaty wynoszącéj kwartalnie 75 franków, mnóstwo panienek zapisuje się na uczennice i uczęszcza na wykłady których celem nie jest przyspasabianie kobiet do urzędów publicznych, na doktorów, adwokatów, lub literatki, ale aby wśród ruchu umysłowego, ogarniającego całą dzisiejszą społeczność, nie było zbyt wielkiego przedziału między wychowaniem mężczyzny, a wychowaniem kobiety.

Dotychczasowe więc ciasne kółka nauki kobiecéj coraz większym promieniem zataczają kręgi, obejmując nawet matematykę uważaną dotąd za niedostępną dla kobiecego umysłu. Zbawienny wpływ téj naukowéj swobody, wprędce da się uczuć całemu ogółowi, a szczególniéj męzkiéj połowie zagrożonéj współzawodnictwem nowych szermierzy wiedzy, i przeczuwających że walka z niemi nie będzie zbyt łatwą. Ta to zapewne obawa tyle mnoży przeciwników bijących na gwałt we wszystkie dzwony próżnosai i leniatwa i jęczących nad upadkiem rodzin i domowego ogniska, w którém kobiety dotąd królując były jego aniołami opiekuńczymi. Strach jednak ten, pod ostatnim względem za wielkie ma oczy, bo jak nauka ogólnie uważając ludzi robi lepszemi, tak i kobiety jeszcze lepsznmi zrobi żonami, matkami i obywatelkami. Co się zaś tyczy groźnego współzawodnictwa, obawe podzielam i cieszę się z niéj jako z bodźca co spiących przymusi do czuwania. Wprawdzie zastępy złotéj młodzieży umniejszą się, dorozkarze przed-teatralni posmutnieją, *Górka* opustoszeje, dowóz zamorskick frykasów uszczupli się, pukanina szampańskich korków przyciszy, ale sądzę że łzy żalu wylane po tak drogocennéj klęsce potopu nie sprawią. Zwrot zaś teu musi nastąpić, bo w przeciwnym razie przyszłe pokolenia odegrają komedję Fredry Gwałtu co się dzieje, przeznaczając kobiety do pióra i książki a mężczyzn do kołysek, igły i garnków.

Jeżeli bowiem dziś przy przesądnem urządzeniu nauki kobiet, te owładnięte ogólnym popędem do światła i wiedzy, dzwigają się o własnych siłach przy środkach tak szczupłych i przeszkodach rozlicznych, na stanowisko przynależne człowikowi, cóż będzie w przyszłości, gdy swoboda nauki do skarbów swoich roztworzy im podwoje z całą gościnnością?

W obecnym czasie przykładów pięknych nie brakuje. Kobiet to usilnemu staraniu ulegając, Stany Zjednoczone nie tylko dozwoliły im kształcenia się na uniwersytetach, ale podniosły głos za przypuszczeniem do głosowania powszechnego, obejmowania urzędów publicznych i posad politycznych po zagranicami Unji. Z europejskich uniwersytetów już wychodzą także doktory kobiety:—w Paryżu pani Rosa Bonheur słynna malarka której prace poświęcone sielskim scenom Bretonji, zwracały powszechną uwagę na wystawie powszechnéj, otrzymała niedawno krzyż legji honorowéj i w pisaną została w poczet członków Instytutu Sztuk pięknych w Auvers. Pani Bottazi żona ministra, nobisała muzykę i libreto do opery p. t. Wilfredo di Hoffach mającą być w krótce przedstawioną w Medjolanie i we Florencji.

Cóż to będzie kiedyś?—Co zrobiemy my, przywłaszczyciele praw, którémi silni z góry pogłądaliśmy na kobiety, jako na niższe istoty. którym wygrzecznione jedwabne słówka sypaliśmy pod nogi tylko w tenczas, gdy szło o wyżebranie łaskawego spojrzenia, lub miłego, pełnego wdzięku uśmiechu?

Zdaje się że czeka nas straszna tortura' konieczność nauki, od jakiéj dotąd jakoś szczęśliwie umieliśmy się wykręcać.

Pogadanki lekarskie.

Napisawszy tytuł niniejszego artykuliku, zda mi się słyszę już szydercze zapytanie niejednéj z pięknych czytelniczek waszych: „Co medycyna ma wspólnego z modą? Czego lekarz wtrąca się do Tygodnika Mód"? Nie śmiejcie się szanowne panie, nie szydźcie, nadobne panienki! Zaraz wam dowiodę, iż medycyna ma dużo wspólnego z modą; zaraz was przekonam, iż lekarz w Tygodniku Mód wcale nie będzie sprzętem zbytecznym! Już lekarz ma prawo mówić o modzie z téj prostéj przyczyny, iż owa władczyni wasza — przepraszam was najporniéj — stanowi zjawisko patologiczne... Jak to? A prosto bardzo! Posłuchajcie tylko co mówi o tem uczony professor Dr. Reich w swojem wcale nie pospolitem dziele p. t. „Aethiologie und Hygiene" § 482.

Co to jest moda i jak na nią spoglądać powinien człowiek dorosły i rozsądny? My uważamy modę za wynik chciwości ludzkiéj z jednéj strony, a z drugiéj — za oznakę chęci błyszczenia, pysznienia się i zawiści; a charakterystyką owéj choroby, modą zwanéj, jest: przyrządzanie, sprzedawanie i noszenie ubiorów, które dziś często-gęsto różnią się całkowicie od tych, jakieście jeszcze wczoraj z wielką przyjemnością nosiły. Kto co chwila nabywa nowe ubiory, zrobione według rysunków w gazetach krawieckich, alias żurnale mód, ten ubiera się — jak się powiada w świecie garderobowym—podług najnowszéj mody, która stosownie do pochodzenia swego, klassyfikuje się na paryzką, berlińską, wiedeńską etc. Moda, ciągnie daléj uczony niemiec, czyli raczéj instytucje mody są wynikiem łapczywości rodzaju ludzkiego, a prawdziwości tego twierdzenia dowodzi się najprościéj przez przytoczenie tego faktu, iż wynalazcami najnowszych i najmodniejszych form, krojów, strojów, etc. są krawcy, szwaczki e tutti quanti; a te szanowne klassy społeczeństwa zaiste mają na uwadze nie miłość bliźniego i ulepszenie zdrowia jego, a prosto dążą ku napchaniu swego worka. Z tą samą łatwością germański nudziarz stwierdza drugą połowę swego założenia, iż moda jest owocem próżności, chęci błyszczenia i zawiści. Ludzie, a szczególniéj kobiety, odznaczające się próżnością (przejaw ograniczonéj czynności umysłowéj), chcą błyszczeć, odznaczać się, chcą, jak to się mówi w życiu powszedniem, być zawsze pierwszemi, pływać ciągle po wierzchu, na jaki to cel obwieszają osobę swoją ubiorami, błyskotkami i klejnotami, by z jednéj strony dowieść, iż „mogą tego dopiąć" a z drugiéj strony wykazać w lepszem świetle swoją piękność i wdzięki.

Widok ludzi wystrojonych, kapiących szychem, blichtrami i perfumami, wzbudza w ten moment zawiść w ich nieukształconych współbraciach i *współsiostrach*, chcących dorównać swoim rywalom, a nawet przejść swoje prototypy w splendorze! Zawistni współbracia i współsiostry wnet poczynają przemyśliwać, a jako produkt tego quasimyślenia zjawia się — moda.

Brutalny Teutończyk posuwa swoją niedelikatność jeszcze dalej i powiada, iż na dnie téj beczki, którą zowiemy modą, kręci się głównie *chęć przypodobania się*.

Po większéj części według mody ubierają się oprócz kobiet: młodzi kawalerowie, krawcy, fryziery, cyrulicy, komedjanci, chłopcy sklepowi, bogaci i ubodzy próżniacy, szlifierze bruku, ladaco, markiery, niezdolni studenci, dzieci parwenjuszów i nareszcie, kawalerowie marcowi. W państwie mody nie ma żadnéj różnicy: belfer z Franciszkańskiéj ulicy może tak samo być modnym wiercipiętą, jak i markier od Lursa lub dandys z hrabiowską koroną na drzwiczkach karety; chociaż trzeba oddać sprawiedliwość, że ulica Franciszkańska daleko mniéj niżeli inne, dostarcza kontyngensu do rydwanu bogini mód.

Według zdania tegoż nudnego doktora, tylko te modne ubiory powinny być w używaniu, które odpowiadają w zupełności tym wymaganiom, jakie mamy prawo rościć do zdrowego, przyzwoitego i rozsądnego pokrycia naszego ciała; reszta zaś wybryków garderobowej fantazji, powinna

być bez żadnéj litości i bez żadnego wyjątku zarzuconą. Toż samo mówi on i o kostiumach narodowych. Te ostatnie, których badanie często pozwala głęboko zapuścić wzrok w rozwój umysłowy narodu, wcale nie są wynikiem kapryśnych wymysłów téj lub owéj jednostki, lecz przeciwnie, można przyjąć za pewnik, iż one stanowią skutek fizycznego położenia narodu, wszystkich okoliczności jego kraju, klimatu, stopnia intelligencji, jego stosunków do innych narodów, i mnóstwa różnych wpływów nader naturalnych, których znacznéj większości my wcale nie znamy.

Jeżeli więc wierzyć słowom Dra Reicha, któren przy całéj szorstkości wykładu, trzeba jednak oddać mu sprawiedliwość, iż mówi świętą prawdę, jeżeli, powiadam, wierzyć słowom jego, to wypada być konsekwentnym i przyznać także, iż znaczna a nawet większa część produktów mody nieodpowiada, albo przynajmniéj może nieodpowiadać wymaganiom Hygjeny i stanowi produkt patologiczny. A zatém moda ma wiele wspólnego z medycyną! Niechże więc ten wstęp wyjaśni powód zjawienia się w Tygodniku Mód, może natrętnych pogadanek prowincjonalnego lekarza.

Nie będę Was moje Czytelniczki nudził ani jątrzył jak ów uczony Doktór, a postaram się, dać niektóre wskazówki, rady, przestrogi, odkryć niektóre sekreta, które mogą być pożytecznemi w toalecie waszéj. Wy zaś róbcie z mojéj bazgraniny co się Wam tylko spodoba, — nawet papilloty. Toć to wiadoma rzecz, iż rady lekarza słuchamy wtedy zazwyczaj, jak już zapóźno. Dobrze wprawdzie i to; dobrze czasami choć późno przyjść do przekonania, ale niestety biada tylko, że w téj śpiewce, którą życiem nazywamy, niestety! niema da capo!

II.

Spotkawszy damę, najpierwéj zwracamy uwagę na jéj cerę, czyli wysłowiając się w mowie medycyny — na skórę... Od tego tedy przedmiotu rozpoczynamy nasze pogadanki.

Co robić wypada, chcąc żeby skóra była zawsze białą, miękką, czystą, zdrową, jednem słowem piękną? Wielka to jest kwestja żywotna, którą sobie każda z Was, nie raz i nie dwa zadawała, zadaje i zadawać będzie! Kwestja ta mogłaby wyjednać przebaczenie ciężkiéj winy przytoczenia słów Dra Reicha, ma się rozumiéć jeżelibym zdołał ją— t. j. kwestję, a nie winę — należycie rozwiązać. I cóż w tém z resztą trudnego? Wszak mamy, chwała niech będzie Paryżowi, kosmetyki, pachnidła i różne a przeróżne wymysły upiększenia płci i bez tego już ex offitio pięknéj. Właśnie też od określenia charakteru i własności kosmetyków chcę rozpocząć rozwiązanie téj olbrzymiéj kwestji.

Otóż śmiać się zapewne będziecie. jeżeli wam powiem: nie używajcie kosmetyków, albowiem *prawie* wszystkie zawierają w sobie truciznę, a wszystkie są mniéj lub więcéj szkodliwemi! Róże, bielidła i pomady, często-gęsto złożone z substancji absolutnie szkodliwych, a nawet jadowitych, mają w sobie zawsze: blejwas (Bleiweiss, Plumbum hydrico-carbonicum, wodo-węglan ołowiu.) Calomel (słodki merkurjusz,) arszenik i t. p. i jest to rzeczą przez liczne doświadczenia i badania dowiedzioną, iż bardzo wiele dam zmarło od otrucia, w skutek używania jadowitych środków kosmetycznych. Szczególniéj we Francji i w Anglii zaufanie publiczne nader bezwstydnie przez wymienione artykuły nadużywaném bywa. W ostatnich czasach pan Chevalier w dziele: Notes sur les cosmétiques, leur composition, les dangers, qu'ils présentent sous le rapport hygiénique (Annales d'hygiène, N. 25) zwrócił uwagę publiczności na niebezpieczeństwa z tych środków wynikające. Używanie rożnych środków kosmetycznych, powiada ten uczony, takich rozmiarów doszło, iż ze względu ich wielkiéj szkodliwości „Zarząd zdrowia“ ma zupełną rację poddać je ścisłemu nadzorowi, tém bardziéj iż ostatniemi czasy, z powodu używania różnych bielideł, różów, pachnideł i smarowideł, wynikły mnogie wypadki otrucia.

Różnokolorowe *pudry* zawierają po części pierwiastki nieszkodliwe, jako węglan wapna, Talk etc, po części zaś bardzo szkodliwe, jako to: Blejwas, Bismut lub Cynk, które to, — bardzo naturalnie—nader łatwo skutki dla zdrowia szkodliwe wywołać mogą. Karmin w różach składa się po większéj części z coccionelli i nie może w takim razie żadnéj szkody spowodować; często jednak w tymże samym karminie zawiera się i Cynober (Hydrargyrum sulfuricum rubrum,) bardzo szkodliwe połączenie merkuryuszu z siarką.

Liczną także posiadamy listę różnych *Tynktur do zębów*, które to miszkulancje, przyrządzone i rozpowszechniane przez szarlatanów i szalbierzy, często bardzo psują i nadwerężają nietylko emalję, ale nawet i samą kość zębów.

W takiéj że okropnéj ilości kursują i różne środki zniszczenia włosów, najwięcéj zaś tak zwana *Rusma wschodnia*, która składa się po większéj części z niegaszonego wapna i Realgaru (połączenie siarki z arszenikiem) i bardzo drażniąco oddziaływa na skórę, na leżące tuż pod nią tkaniny i wymaga przy używaniu bardzo a bardzo wielkiéj ostrożności.

Wody piękności, których niezliczona ilość istnieje częścią są niewinnéj własności, lecz daleko częściéj zawierają tak zwany *ocet ołowiu* (acetum plumbi) albo *sublimat* (bardzo szkodliwy preparat żywego srebra). Wody, barwą do mleka podobne, czyli tak zwane *mleczne* składają się zazwyczaj z wody źródlanéj lub rzecznéj i z tynktury benzoesowéj i dla tego szkodzić nie mogą. Często jednak owe wody mają w sobie ocet ołowiu lub wodę gulardową, a to już źle na skórę działa.

Maście czyli *Pasty* (Pâtes) do włosów często zawierają Blejwas, dodający im białości. Pomady przyrządzane najwięcéj przez perfumerów, większą częścią składają się z tłuszczu i jakiegokolwiek dodatku eterycznego i szkodzić nie mogą. Jeżeli zaś, jak to często bywa, pomada ma w sobie części mineralne, jak Blejwas, Sublimat albo Cynober, to jest bardzo szkodliwą. Takie pomady powinny przyrządzać się tylko w aptekach a i to nie inaczéj, jak tylko według przepisu lekarza. Czasami do tych pomad dodaje się dla większéj taniości i gips, któren przeszkadzając transpiracji skóry, bardzo jest szkodliwym.

Wszelkie pudry do włosów składają się po większéj części z krochmalu, bywają jednak często wypadki, w których zamiast krochmalu, bierze się proszkowany korzeń Iridy Florentyjskiéj (pulvis radicis Iridis florentinae), od którego najsilniejszy ból głowy powstaje.

Fryzjery używają często do farbowania włosów takich płynów, które mogą wywołać dość ciężkie choroby, jeżeli jak to zazwyczaj bywa, one preparują się z roztworu wapna, ołowianego gletu (*Bleiglätte*, *Lythargirum*, *Massicot*) albo z kamienia piekielnego (*lapis infernalis*).

Z powyższego wynika, iż mamy dużo środków kosmetycznych, które działają po części szkodliwie na skórę (bo zawierają w sobie kwasy i sole metaliczne,) a nawet często oddziaływają bardzo zgubnie na cały organizm. Tak bardzo często trafiają się, naprzykład z powodu farbowania włosów, uporczywe cierpienia głowy, a nawet i napady epileptyczne (Choroba S-go Walentego). Bardzo byłoby tedy dobrze, ażeby sprzedawanie tych środków, jeżeli nie może być zupełnie zakazanem, podlegało przynajmniéj najściślejszemu dozorowi.

W Paryżu miał naprzykład miejsce wypadek następującéj treści. U dwóch perfumiarzy sprzedawał się blansz, który zawierał Blejwas i wywołał w kilku razach niewątpliwe otrucie. Sąd policyjny skazał tych panów na 3 miesiące wieży i 500 franków kary jednakże winowajcy przez sąd główny cesarski zostali uwolnieni od kary. Obrońca postarał się wyprowadzić takie twierdzenie: bielidło bismutowe nie jest szkodliwem; blejwas używany od lat 2000 nie jest niebezpiecznym; handel zaś ucierpiałby znacznie z powodu podobnych wyroków.

Dr. Chevalier wykazuje fałszywość tego twierdzenia, dowodząc iż są *koliki* tak zwane *ołowiane*, wynikłe z powodu zewnętrznego używania ołowiu. Tenże uczony wypowiada jednakże obawę, iż artyści i „damy mody", nie zważając na niebezpieczeństwo, w niepojętéj lekkomyślności nie zarzucą tych zgubnych środków, które z początku zakrywają w prawdzie niektóre wady przyrodzone, lecz późniéj zwiększają takowe, oprócz tego wywołują chorobliwy stan skóry i całego organizmu. Lecz darmo! Dla jednéj chwili mniemanéj piękności, znajdzie się niejedna gotowa zapisać duszę... kosmetykom!

— „Eh! mój doktorze! Strofować i krytykować to nie wielka sztuka. Dobrze tobie, który należysz do płci szkaradnéj; płeć piękna nie może zaniedbywać pielęgnowania swéj cery!

— A Broń Boże! Któżby śmiał dawać podobne rady zbrodnicze! Owszém, pielęgnujcie moje panie ile się Wam tylko podoba, alež za pomocą środków nie szkodliwych.

— „Dawaj nam ich panie doktorze, dawaj!

— Z największą przyjemnością, wysłuchajcie tylko naprzód następującą nudną ramotę...

Lekarz.

O UBIORACH.

Korrespondencja z Paryża.

Ubranie balowe albo wieczorowe, aby się prawdziwie ładnie wydało, powinno koniecznie wyjść po za granice pospolitości, a jednak nie być excentrycznem. Francuzki doskonale to zrozumiały i dla tego to Paryż, narzuca prawa mody całemu ucywilizowanemu światu. Uwagę tę nasunęły nam śliczne suknie, któreśmy widzieli w sławnym magazynie pani Maillard, zalecające się szczególniéj oryginalnością połączoną z wytwornym gustem.

Jedna z tych sukien była z tiulu jedwabnego białego, na fijołkowéj atłasowéj. Kolor fijołkowy nie zbyt ciemny, wpadający troszkę w czerwonawy, wydawał się prześlicznie przy wielkiem świetle. Spódnica fijołkowa nie miała żadnego garnirunku. Biała tiulowa złożona we dwoje, przymarszczana była w podłuż. przez co tworzyły się festony. Na każdem przymarszczeniu szła od paska do dołu wstążka fijołkowa przerabiana srebrem, zakończona u dołu kokardą, któréj końce objęte były frendzlą srebrną. Staniczek również przepinany wstążką, miał oprócz tego za przemarszczenie w środku i po bokach trzy gałązki powoju fijołkowego, pokryte lśniącym szronem. Szeroka szarfa atłasowa fijołkowa, przewiązana w tyle, zakończona frendzlą, dopełniała ubrania. Na głowę przeznaczone były gałązki takiegoż powoju, przeplatane perłami.

Inna suknia balowa, z tiulu jedwabnego jasno popielatego, na sukni atłasowéj tegoż koloru, przemarszczona była także od góry aż do dołu. Tiul dany był podwójnie. Na każdem przemarszczeniu szedł galonik złoty wązki na palec. Bukieciki z pąsowéj geranji podpinały u dołu festony. Stanik marszczony w podłuż przepięty w górze podobnemi bukiecikami ślicznie odpowiadał całości. Ubranie głowy stanowiła girlandka z geranji pomięszana ze złotem.

Trzecie ubranie, przygotowane dla młodéj osoby składało się z pierwszéj spódniczki białéj atłasowéj, zakończonéj u dołu złotym sznurkiem, na to szła druga spódniczka biała gazowa objęta sznurkiem o połowę węższym. Staniczek grecki układany w fałdy zakończony był sznurkiem u szyi. Sznurek złoty okręcony w około włosów, stanowić miał całe ubranie głowy.

Ubranie dla młodéj panienki, przeznaczone na mały wieczór, składało się z sukni białéj fularowéj, sięgającéj tylko do ziemi. U dołu szła plisa różowa jedwabna, szeroka przeszło na ćwierć łokcia, wycięte w ostre zęby obrócone do góry. Staniczek wycięty czworograniasto, zakończony z przodu różowemi ząbkami, miał szelki przechodzące przez ramię, przybrane odpowiednio. — Szarfa biała fularowa, objęta różowemi ząbkami spadała z lewego boku.

Pod spód szła tiulowa biała koszulka układana w zakładki z długiemi rękawami, przybrana wstawką gipiurową. Włosy przepasane być miały wstążką różową, z kokardką spadającą na bok.

Kapelusiki tegoroczne do tak małych przyszły rozmiarów, że cały kapelusz składa się tylko z djademu nad czołem i koronki lub blondyny spadającéj na warkoaz, szarfy do spięcia zwyczajnie są aksamitne, do strojniejszych zaś koronkowe czarne lub też białe illuzjowe. Uważaliśmy bardzo ładny kapelusik czarny, przybrany djademem z różnokolorowych motylów. Szarfy z czarnego tiulu w deseń objęte były rulonem atłasowym, przepięte pod brodą motylem.

Kapelusze na wizyty lub na teatr noszą białe, perłowe, seledynowe, ubierane białą blondyną i kwiatami, do wyjścia na ulicę przyjęte wyłącznie czarne, podpięte djademem z liści lawowych czarnych, lub też aksamitnych bardzo ciemnych. Na wierzch przewiązuje się woalik z gładkiego tiulu czarnego, bez obrąbka, przylegający do twarzy, ze spadającemi na warkocz końcami. Woalik ten wcale się nie podnosi.

Widzieliśmy także śliczny ubiorek na głowę do teatru albo na proszony objad. Jest to szeroka kokarda aksamitna czarna albo pąsowa, haftowana złotem, przypina się na samym środku głowy, albo cokolwiek z boku. Od téj kokardy spadają na warkocz trzy rzędy pereł złotych.

Włosy wiążą bardzo wysoko. Najmodniejsze ubranie na bal albo na wieczór, składa się z loków spadających wzdłuż głowy, loki te dane trzema rzędami, zmniejszają się w górze coraz bardziéj. Do codziennego ubranie okręcają trzy razy warkocz w około głowy i opasują go wstążeczką lub aksamitką.

Kostiumy najmodniejsze składają się ze spódniczki i paletocika z okrągłą pelerynką, sięgającą poniżéj stanu. Tak paletocik jak pelerynka, zakończone zwykle kręconą frendzlą na dwa palce. Paletocik powinien być cokolwiek wcięty do figury. Między innemi widzieliśmy pelerynkę z przodu zwyczajną, ściętą czworograniasto. Od ramienia zaś z obu stron krajana była tak że tworzyła dwa końce, przerzucone jeden przez drugi. Końce te obszyte frendzelką zakończone śpiczasto, sięgały do końca paletocika.

Falbany u sukien coraz się więcéj ukazują. Dają je szczególniéj do sukien jedwabnych, a nawet atłasowych. Szerokość ich bywa rozmaita. Zazwyczaj główka wychodzi w górę, oddzielona pliską odpowiednią.

Opis ryciny.

Ubranie na wieczór dla młodéj osoby. Suknia biała muślinowa z szerokim wolantem. U dołu wolant zakończony obrębem, na różowem podwleczeniu. Nad wolantem trzy pliski różowe stanik przybrany stosownie pliskami. Pod spód modestka tiulowa objęta walansienką. Szarfa różowa związana z tyłu na kokardę. Na głowie wieniec z drobnych różyczek.

Ubranie wizytowe. Kostium jedwabny koloru Bismark. Spodnia spódniczka lekko fałdowana, przybrana ciemniejszemi klapkami, naszytemi w drabinkę. Wierzchnia spódnica zakończona plisą ciemniejszą, na każdym z szyciu brytów dane takież plisy. Paletocik do stanu, zakończony w zęby, objęte plisą; w każdym zębie kwaścik. Rękawy podwójne jedne obcisłe, drugie szerokie spadające. Kapelusz seledynowy aksamitny, spięty na szarfy z illuzji.

Ubranie małéj dziewczynki. Gabrjela popelinowa jasno szafirowa do gorsu, spięta na rząd szmuklerskich guzików. U dołu plisa w zęby z materji ciemniejszéj. Stanik na wykroju przybrany takiemiż zębami. Koszulka biała półbatystowa w zakładki, objęta u szyi wąziuchną falbaneczką.—Pod falbanką wstawka haftowana, podwleczona wstążką szafirową; z tyłu kokarda z końcami. Spódniczka pod spód biała półbatystowa, zakończona odwróconą falbanką i wstawką haftowaną przez środek.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg).

Lilja biała utrzymuje się u nas pospolicie po ogrodach. Pierwotnie pochodzi z Syryi, Palestyny i Azyi mniejszéj, gdzie rośnie dziko po wilgotniejszych dolinach między - górskich, lecz już od dawna południowéj Europje została przyswojoną do tego stopnia, że nawet po wielu miejscach nadśródziemnomorskich zupełnie zdziczała, i do flory tych krajów poniekąd się zalicza. To co Jezus powiedział do uczni swoich, wskazując na lilję: „Przypatrzcie się liljom jako rosną: nie pracują ani przędą, a powiadam wam, ani Salomon we wszystkiéj swéj chwale nie był tak ubranym, jako jedna z tych“ ściąga się do *lilij chalcedońskiéj.* Lilję tę z bardzo wielu innymi gatunkami lilii, o różnych barwach, a mianowicie: pomarańczowéj, różowéj, czerwonéj, żółtawéj lub rozmaicie pstréj, można widzieć hodowane niekiedy po naszych ogrodach. Krajową dziką lilją jest tylko jeden gatunek (*Lilium Martagon)*, w kształcie zawoju, barwy pomarańczowéj, pospolity dość po krzakach i lasach.

23. *Lotos.* (Lotos sacré, *Nymphaea Lotus* i *Nelumbium speciosum*). Chociaż jest to kwiat wspaniały i wielce sławny, zwłaszcza w swéj ojczyznie, to jest w Indjach i Egypcie, u nas jednak mniej jest znany nawet z nazwiska, bo tylko po większych cieplarniach europejskich widzieć go można. *Lotos* albo *Lotus,* jest rośliną wodną, tak podobnie jak nasz *grzybień żółty,* (Nenuphar, Nuphar luteum), lub *biały* czyli tak zwana *lilja wodna* (Nenuphar blanc, *Nymphaea alba,*) które są prawdziwą ozdobą naszych stawów i wód stojących. Gdzie więc lotus pielęgnują, muszą mieć na niego osobny wodozbiór (bassin) w cieplarni wymurowany i ogrzany, co jest rzeczą dość kosztowną. Nasza lilja wodna biała, bardzo jest podobną do egipskiego *lotusu* (Lotos des Egyptiens, *Nymphaea Lotus*), którego nasiona i korzeń są jadalne, a kwiaty często na starożytnych Egiptu pomnikach rzeźbione były symbolem bogactwa, potęgi i pełni życia. Lecz jeszcze wspanialszą i dziesięćkroć większą od naszéj lilii wodnéj, jest gujańska lilja wodna, przez angielskiego botanika Lindleya, na cześć swéj królowéj, *Wiktorją* (*Victoria regia)* przezwana. Amerykańska ta roślina ma wielkie, różowo-białe kwiaty, do czterech stóp obwodu mające, a liście zazwyczaj 15 stóp obwodu mierzą. Tak zwane zaś na wyspie Cejlon *nelumbo* (*Nelumbium speciosum*), jeszcze jest piękniejszą i wspanialszą od Wiktoryi rośliną. Rośnie po jeziorach i wodach stojących, w całych Indyjach, w Persyi i Egipcie, ale liście i kwiaty nelumbowe, nie pływają, tak jak u lilji wodnéj, lecz wysoko wynurzają się z wody, niekiedy do 6 stóp nawet.

(d. c. n.)

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(*Dodatek).*



Paul Lacourière Sc — Gilquin fils imp. r. des Fossés St J. 3 Paris — Héloïse Leloir — 3596

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

MACOCHA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

W Zieminie kilkanaście zebrało się osób. Felicja właśnie od fortepianu powstała i przy wspólnym usiadła stole. Pan Edmund zajął obok niéj krzesło, i począł leżące przed nim książki i dzienniki przeglądać. Właśnie wziął do ręki nową powieść znamienitszego u nas pióra.

— Czy pan już czytałeś tę powieść? zapytała panna Miłoszyńska.

— Tak pani, już przed tygodniem—pan Edmund starał się być świadomym nowszych płodów piśmiennictwa naszego, miał słabostkę wydawać sąd o nich, a biedny potykał się łatwo.

Panna Miłoszyńska umyślnie wyciągała go na słówko.

— I cóż pan o niéj mówisz?

— Nie zupełnie mi się podoba.

— Pod jakim względem?

— Niepodoba mi się—pan Edmund pokraśniał—bo... bo jest brak jakiś.

— Brak czego?

— Nie budzi wielkiéj ciekawości...

— Ale cóż jéj pan głównie zarzucasz? To jest ogólnik tylko.

— Trochę nudna...

— Jakto nudna?

— Pan zapewne znajdujesz, że opisy nieco są przydługie—ozwała się pani Wszemborska, widząc jego pomięszanie—za nadto szczegółowe.

— Tak pani właśnie.

— Jakżeż pan znajdujesz charaktery osób?

— Charaktery są bardzo trafnie oddane.

— A obrazowość?

— O, także.

— I cóż się nie podobało?

— Słabe trochę... nie dość ciekawo się czyta—pan Edmund aż niby odetchnął.

Panna Miłoszyńska na Felicją spojrzała i uśmiechnęła się.

— A te poezye, czy znasz pan? zapytała znowu, posuwając nieduża książeczkę, w różowéj okładce.

— Czytałem niektóre.

— I jakżeż je pan znajdujesz?

— Ładne bardzo... wiersz gładki...

— Wiersz gładki—powtórzyła z wyrazem ironii i urwała dalszą rozmowę, jak gdyby powiedzieć chciała: Niemasz z kim mówić!

— Pani *mama macocha* proteguje twojego adoratora poszepnęła Felicji następnie—jest majętny... a ona o resztę nie pyta. I pozbyłaby się pasierbicy z domu... Ojciec ciebie kocha! a to pewnie solą jest w jéj oku.

W dni kilka potém pan Edmund otrzymał arbuza od panny Felicji.

Pani Gromońska nie posiadała się z gniewu — i wszędzie rozpowiadała, że to nastąpiło z powodu intryg guwernantki, która nie chce, ażeby Felicja za mąż poszła i wszelkim konkurencjom przeciwną będzie. I na tém skończyło się wszystko.

Na wóz żniwny wsiadła pani Wszemborska z pannami, by robotnikom zawieść podwieczorek i obecnością swoją uczcić ich pracę. Panna Marcella z uprzejmym wyrazem obok niej miejsce zajęła—bo wyłamanie się od uczestniczenia w téj idylicznéj wyprawie, było niepodobieństwem.

Pan Wszemborski, zatrzymany czynnością jakąś, dopiero późniéj miał nadejść.

Gromadka pracowników długiém powrząsłem powitała panie, które im dawném „Szczęść Boże na robotę“!—odpowiadały. Potém raczyli się wszyscy przywiezionóm poczęstném.

Panie usiadły na snopkach i przypatrywały się temu, pełnemu życia, obrazowi sielskiemu. A były tam i piosnki i podkrzykiwania ochocze.

Dzieci wiejskie, zbierające kłosy, przyniosły paniom w dani spore pęczki ślicznych modraczków, a pani Wszemborska splotła ładne równianki i uwieńczyła niemi głowy panienek. Cudnie im było przy białych sukienkach, zwłaszcza też Felicji.

Żniwiarze, posiliwszy się, już znowu do swojéj wracali pracy, gdy Kazia wyglądając ojca, zawołała.

— Tatko idzie z dwoma panami!

Obejrzały się wszystkie.

— Jeden jest pan Gorewicz — wymówiła panna Miłoszyńska—lecz kto jest drugi?

— Nie znam—pani Wszemborska powstała.

Nieznajomy był młodzieńcem dwudziesto-dwu-letnim, mniéj więcéj—z młodziutkim, ciemno-płowym wąsikiem, nader ładnéj twarzy i wyrazu miłego, wysoki i kształtny, z wielką elegancyą ubrany.

— Pan Lucjan Borzywojski—przedstawił go dziedzic Ziemina.

— Pan Lucyan!.,, Lucyanek! — zawołała Zofja, nagle zarumieniona—Lucek!—i obiedwie podała mu ręce, które młodzian z wdzięcznym wyrazem do ust przycisnął. Niespodzianie zobaczywszy, nie mogłam poznać, teraz jednak, rozpatrzywszy się, poznaję rysy Lucyanka. Nie widzieliśmy się lat kilka.

— Sześć podobno.

— A może i więcéj. Cóż porabia mama?

— Zdrowa. Jest w Karlsbadzie z siostrami.

— Dawno jak wróciłeś z zagranicy?

— Dwa miesiące niespełna.

— I gdzieżeś zostajesz?

— Niby to w Radlinie — uśmiechnął się młody — lecz tam tak pusto, próżnia nieznośna, więc i uciekam. Pana Gorewicza bliżéj poznałem w Dreznie, i pospieszyłem go odwiedzić.

— Dawno tu jesteś?

— Od wczoraj.

— O, to dziękuję, żeś zaraz o mnie pamiętał.

— Pragnąłem co rychléj łaskawą kuzynkę odwiedzić.

— Zawsze poczciwy Lucek! podała mu rękę, którą znowu do ust przycisnął.

— To też—ozwał się pan Wszemborski z uprzejmością serdeczną—chcąc być poczciwym zupełnie, spodziewamy się na pewne, ze pan Lucyan zechce nas na czas dłuższy odwiedzić.

— Z największą przyjemnością!—odrzekł młody kuzynek i pokraśniał, bo zwracając się z wdzięcznym ukłonem

ku dziedzicowi Ziemina, śliczna zczarowała go postać, w białéj sukience, z wieńcem z bławatków nad czołem.

Prosił więc pana Wszemborskiego, by go córkom przedstawił swoim.

Pan Gorewicz w tym czasie z panną Miłoszyńską rozmawiał.

— Człowiek dopiero uzna, że się starzeje w obec téj młodzieży, którą widziało się dziećmi—wymówił właśnie. Przed laty niewielu pan Lucyan był chłopczykiem. Pannę Felicją znałem maleńką, a dziś jest panną dorosłą! Czas leci jak fala i w swoim pochłania nas prądzie—musnął wypieszczony wąs czarny.

— Panienki zwłaszcza dorastają nagle—odrzekła panna Marcella — lat kilka przemienia je z dzieci w niewiasty.

— Uczennice pani są śliczne, i tyle mają wdzięku!

— A takie dobre i pełne zalet!

— Są uczennicami pani! — wymówił Gorewicz grzecznie, za co guwernantka wdzięcznym udarzyła go wyrazem.

— Kocham je całém sercem—wyrzekła głosem miękkim i spuściła oczy—i one całém uczuciem swojém, całą duszą dziecięcą przywiązały się do mnie.

— To jest zbyt wiadome, pani.

Panna Marcella znowu uprzejmie ku niemu spojrzała.

W téj chwili zbliżył się pan Wszemborski z młodym Borzywojskim i przedstawił go pannie Miłoszyńskiéj.

— Pan dawno wyjechałeś z Drezna?—zaczepiła go od razu.

— Przed dwoma miesiącami pani.

— A dużo tam jest rodzin znajomych?

— Jak zawsze. — W téj porze jednak wiele z nich do wód powyjeżdżało.

Państwo Wszemborscy wezwali towarzystwo do powrotu, bo zbliżała się godzina herbaty. Pan Gorewicz podał rękę pani Wszemborskiéj, a pan Lucyan, oczewiście, pannie Miłoszyńskiéj, z którą właśnie rozmawiał—z czego niezmiernie zadowoloną była. Ojciec prowadził swoje córeczki.

W czasie drogi panna Marcella bardzo zajmującą rozmową, młodego towarzysza bawiła. Drezno pierwszy podało wątek. Mówiła o sztukach pięknych a potém i o literaturze. Pan Lucyan umiał mówić o wszystkiém.

— Bawiąc lat kilka za granicą—mówiła z pewnem zadziwieniem—pan jednak tak jesteś obeznany z naszém piśmiennictwem.

Matka moja zwykła sobie sprowadzać wszystko, cokolwiek pojawi się lepszego.

— Mama pana ciągłe miewa z kraju wiadomości?

— O tyle, że i panią już dobrze znałem—odrzekł młody uprzejmie.

— Jakto?—na licach panny Miłoszyńskiéj wdzięczny zakwitł rumieniec.

— Mówiąc o Zieminie, mówiła mi matka i o rzadkich zasługach pani.

— Mama pana?

— Tak, pani.

— Wszakżeż nie zna mnie wcale.

— Niepotrzeba znać osobiście, a jednakże cenić wysoce.

— Nad wyraz to dla mnie pochlebne, bo wiem, że mama pana słusznie do rzędu podniosłych zalicza się niewiast. A zatém drogocennėm jest jéj zdanie.

Droga rozszerzyla się właśnie. Pan Wszemborski zbliżył się z panienkami i zagadał do młodego gościa, po którego stronie szła Kazia.

— Gdy stanęli we dworze, przysiadła się pani Zofja do kuzynka, i znowu o matkę i siostry zapytywać poczęła.

— Panienki zapewne ładnie wyrosły?

— Jakkolwiek bratem jestem—uśmiechnął się Lucyan to jednakże powiem, że rzeczywiście ładne są dziewczęta.

— A czy mama w jesieni zjedzie do Radlina?

— Podobno, że nie... jest projekt przepędzenia jeszcze téj zimy w Dreznie. Namawiają wszyscy, by matka tamże siostry w świat wprowadziła. Jam temu był przeciwny—dodał ciszéj.

— Ale, że mama przystała na to?

Lucyan ramionami ruszył.

— Że raczéj nie wybrała Warszawy?

— Nawykła do Drezna... A nadto utrzymuje, że w Dreznie koszt mniejszym o połowę będzie.

Zofja umilkła, znając tę słabą stronę pani Borzywojskiéj, a raczéj wielką oszczędność i rachunkowość przy ogromnym tonie pańskim.

Po herbacie zbliżył się gość młody do panien, i zaczął najzwyczajniejszą formułką i najzwyczajniejszym frazesem pochwalając ładną robótkę... w ładniejszych jeszcze rączkach Felicji boć na robótce nie znał się zapewne tyle, co na kształtnych paluszkach biało-różowych — ile, że ładnie bardzo rysował.

Panienka, odpowiadając także jakimś frazesem zwyczajnym, zróżowiała przecudnie co i na lica młodego rumieńszy wywołało odcień.

Pan Lucyan jednak w jednéj chwili w obec ślicznego dziewczątka, otrząsł się z tego młodocianego pomięszania: począł jakoś zręczniéj mówić, o tém i owem, i panienkę w pogadankę zajmującą pociągnął. Zwrócił się także i do młodszéj siostrzyczki—a potém znowu z panną Miłoszyńską w poważniejszą zapuścił się rozmowę.

Panowie późno odjechali. Przyrzekli za trzy dni odwiedziny powtórzyć, a pan Lucyan zapowiedział kilkodniowy w Zieminie pobyt.

— Jakaż to śliczna istota!—zawołał ten ostatni, gdy wyjeżdżali z dziedzińca—to mój ideał! główka Rafaelowska aniołków! A jaki urok! i figurka cudna!

— Oczarowanyś, mój młody przyjacielu!

— Przyznaję.

— Staraj się tylko o łaskę panny Miłoszyńskiéj, bo ona jest jakoby owym olbrzymem w baśni, strzegącym zaklętéj księżniczki cudownéj urody — zaśmiał się Gorewicz.

— Wiem, że wychowała panienki, i że wielkie pod tym względem ma zasługi.

— I kieruje ich widzeniem, ich wolą i sercem.

— Mówiła mi, że nikogo w świecie nie kocha tyle, co swoje panienki, i ze jest szczęśliwą ich przywiązaniem, niedającem żadnem określić wyrazem.

— Powtarza ona to wszystkim! — odrzekł pan Jozef potrząsając głową.

— Niby trochę z ironją o niéj mówisz?

— Ot, tak sobie! Wiem tylko, że jest wszechwładną mistrzynią uczennic swoich. Zacna, poczciwa i zbyt względna pani Wszemborska podległa jéj także. A słyszałem, jak raz do pani Gromońskiéj wyrzekła: że ma szczególne współczucie dla wszystkich guwernantek i panien do towarzystwa, bo je do najnieszczęśliwszych w społeczeństwie zalicza istot, jako w świat rzucone sieroco, zależne od kaprysów różnych, dumnych uwidzeń i nieprzeliczonych

cierpkich okoliczności. Że ich położenie najczęściéj jest fałszywem zupełnie, a zatem należy im się pobłażliwość.

— Szlachetna to zasada!—zawołał Lucjan i zdanie pani Wszemborskiéj wielką zawiera prawdę.

— Staraj się przeto, powtarzam, o względy guwernantki, a trafisz do serduszka idealiku swojego, bo to jest rządczyni prawdziwa.

— Jestem dobrze uprzedzonym o pannie Miłoszyńskiéj.

— Znać pani Wszemborska zawsze wspominała ją względnie.

— I mam dla niéj szacunek.

— To tém lepiéj. Niechaj ci Bóg szczęści, kochany chłopcze!... Widzisz, że mnie dotąd nie poszczęścił: znać nie trafiłem jeszcze na swoją, a może i starym kawalerem zostanę. Jestem może i trochę trudnym w wyborze. Otóż, gdybym drugą taką panią Wszemborską spotkał, a wolną, to pewniebym u stóp jéj moje złożył serce: łagodna, dobra, pobłażliwa, pełna prostoty, z wdziękiem prawdziwie niewieścim, otóż czego szukam w kobiecie, bo taka szczęście tylko dać może. A pani Wszemborska jeszcze i piękna i rozumna.

Pan Józef umilkł — i młody Lucjan także pogrążył się w dumanie i majaczyła przed oczyma jego duszy wdzięczna niby wodnica, w białym muślinie, jakoby w piankowéj fali, z wieńcem nad jasném czołem. I przyświecały mu dwie modre gwiazdy, niby z dziecięcém jeszcze, a tak głębokiem spojrzeniem.

Pan Lucyan przybył na dni kilka do Ziemina i serdecznie powitany został, a z tych dni kilku zrobiło się kilkanaście.

Obecność jego ożywiła i zespoliła towarzystwo, bo panna Miłoszyńska z panienkami, nie oddalała się teraz tyle jak zwykle. A gość młody umiał je zabawić, to opowiadaniem pełném zajęcia, to różnym tematem rozmowy, to wreszcie i co przeczytał. Odbywano codziennie przechadzki. Lucyan zdjął kilka powabnych widoków, które następnie wypracował starannie, a były to nader ładne obrazki. Dla panny Miłoszyńskiéj z wielką zawsze był względnością i wiele z nią rozmawiał.

Ranek był uroczy. Niebo włoskim zamodrzało błękitem, błyskotne słońce zbarwiło wszystko.

Felicja w biało-rannem ubraniu, w okrągłym kapelusiku ryżowym z szafirowem piórkiem, wybiegła do ogrodu po bukiecik do ulubionego wazonu na gotowalni swojéj. Był to dar od ojca, porcelanowy z fabryk czeskich, z malaturą ładną.

Młoda dziewczyna dobierała kwiatki, stosownie do barw ich, wdzięczną składając całość. Był to dobór śliczny, i zbierając je, przypatrywała się z zajęciem każdemu, podziwiając cudną twórczość natury w każdym i najdrobniejszym kształcie. Właśnie zerwała gałązkę z gronkami drobniuchnego, białego kwiecia—i rozpatrywała się w miniaturowéj koronie kwiateńka każdego,—gdy jéj przerwał głos znany.

— Dzień dobry, pani.

— Dzień dobry.

Felicja stała się różowszą od róży w swoim bukiecie.

Pan Lucyan powracał z dalekiéj w pole przechadzki, jak tego dowodził ubiór jego elegancki, poranny, zroszony i zapylony bez miary.

— I pani taże prześlicznym cieszysz się porankiem— wymówił z rozjaśnionym wyrazem.

— Pan byłeś na przechadzce?

— Daleko! W polu i lesie. Roskoszna to była wędrówka a nie dodał, jak cudne, urocze, złote marzenia w téj rannéj towarzyszyły mu pielgrzymce, i że wdzięczna jéj postać z przed oczów ducha jego i na jedną nie ustąpiła chwilę.

— Gdym nadchodził—zaczął po chwilowém milczeniu, gdy panienka układała swój bukiet, pani właśnie nad tym białym kwiatkiem jakieś spostrzeżenia czyniłaś.

— Podziwiałam dokładność w każdym listeczku, w źdźiebełku każdém. Czyliż nie jest śliczny, cudny!— zawołała młoda entuzyastka, piękną pokazując mu gałązkę.

— To polny jest kwiatek,

— Wyrosł tu przy trawniku. Lubię bardzo polne kwiaty, i leśne i łączne. Mają więcéj dla mnie wdzięku, jak hodowane sztucznie.

— Bo też wszystko, co jest sztuczne, mniéj ma powabu.

— Och te miniaturowe gwiazdeczki białe!

— Pani bardzo lubisz kwiaty!

— Nadzwyczaj! Mogłabym po całych godzinach patrzéć na nie i bawić się z niemi.

— Bawić się niemi! — podjął młodzian, zrywać je... a potém porzucić!

— Och, nie! — zawołała panienka, tym niby wyrzutem dotknięta i spojrzała się ku niemu, a jakimże wzrokiem wymownym!

— Nie porzucę ich, włożę je w wazon.

— Ale gdy zwiędną!

— Gdy zwiędną— poszepnęło dziewczę — Mój Boże!.. I na krzewie zwiędłyby także.

— Lecz zawsze żyłyby dłużéj, w ciepłym słońca promieniu, w ożywczéj rosie, na krzewie przy siostrzyczkach swoich—Lucjan, mówiąc to, patrzał się na nią z dziwnym oczów wyrazem i szczęsnym uśmiechem, bo czytał w jéj rysach wszystkie młodziutkiéj duszy wrażenia.

— Gotowam już nigdy żadnego nie zerwać kwiatka! — zawołała — pan żal zbudziłeś we mnie, nigdy nie zastanawiałam się nad tem, że zrywając biedne, skracamy im życie.

— Wszakżeż to kwiatki tylko! Żartowałem, pani.

— O, bo i kwiatkom nie chciałabym zrobić przykrości! zawołała naiwnie.

— I kwiatkom nie! — powtórzył młody, a oko jego zamgliło się jakoś — ale...— dodał ciszéj — panie jesteście niekiedy bez litości dla serca drugiego.

Felicja aż niby zadrgnęła, i mocny rumieniec powlokł jéj lica: wspomniała na pana Edmunda Gromońskiego.

— Serce łudzi się, żywi złote nadzieje — mówił głosem stłumionym daléj — bywa łudzone urokiem spojrzeń, czarem uśmiechu... upojone dźwiękiem głosu... a potem, zwiędnąć musi w tęsknocie i bólu, jak kwiatek, porzucony... zdeptany.

— Nigdy nie depczę kwiatka! — zawołała panienka znowu dziwnie naiwno.

— Kwiatka! — pan Lucjan nie śmiał zapytać: czyli i serca niczyjego nie zdepcze, ale nie śmiał.

Umilkli oboje. On patrzał się na trawnik, po którym wlókł się kraj jéj białéj sukienki. Panna była różowa, pomięszaną trochę i w drobnych palcach zerwane przekładała kwiatki, już i na ich dobór niezważając, że i żółte były przy różowych, a przy liljowych niebieskie. Dziewiczem sercem zrozumiała młodego i to serduszko uderzać poczęło, że zwolna róże z lica spełzły, by w jego uderzeniach głośniejszych tem piękniéj zakwitnąć.

Lucjan wzrok podniósł, widział pobladłość wdzięcznego lica i serdecznie żal mu było panienki.

— Czyliżem panią jakiem niebacznem nie dotknął słówkiem? — zawołał pełen obawy, z tkliwszem w głosie odbrzmieniem. Och, powiedz pani! Nie karz mnie milczeniem! — dodał namiętniéj, gdy biednemu dziewczęciu niby tchu na odpowiedź nie stało.

— Mój Boże! —wyszeptała wreszcie. — Czemżeżby? — uśmiechnęła się, niby czarującéj wieszczki uśmiechem — pan taki jesteś dobry... grzeczny— i zakwitła znowu świeżutko.

— Dzięki za to słówko, bo już byłem pełen trwogi, czylim panią czem nie obraził!

— Nigdy!... Mój Boże, nigdy!

Lucjan byłby się przed nią rad na kolana rzucił, lecz go powstrzymał nakaz rozsądku.

Chwilowe znowu nastąpiło milczenie.

— Pomogę pani zrywać kwiatki — przerwał młodzian.

Panna nie śmiała odpowiedzieć, że ma ich już podostatkiem.

Lucjan zerwał parę ładnych, ale i parę bezbarwnych, skarłowaciałych, dla których biedaków matka-przyroda okazała się macochą — i matka-przyroda nawet! — W oczach młodego jednakże, znać wszystko nateraz uroczą przysłaniało się barwą. A panna z wdzięcznym wyrazem podane jéj dzieciątka Flory, i ładne i smutnéj urody, zarówno do swojego przygarnęła bukietu.

Ode dworu, wesoła jak ptaszek, Kazia nadfrunęła w téj chwili!

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

— I wesoły zarazem! — wymówił pan Lucjan — bo panna Kazia wygląda, jakby uosobione wesele.

— Bo tatko powiedział mi właśnie — odrzekło dziewczątko — że dziś będzie podwieczorek w dębinie; przybędą państwo Żarlińscy z Ludką i Manią, pan Górewicz, państwo professorowie, pan Wajwrowicz, proboszcz, i jeszcze pare panów. Zbierzemy się wszyscy w miejscu zwanem Tabunki, gdzie naprzód zawiozą kawę, ciasta, owoce. Będziemy chodzili po lesie, zbierali grzyby..., a potém pojadą z nami wszyscy na herbatę.

Dziewczątko skakało z radości. Ucieszyła się i starsza siostrzyczka — i pan Lucjan także, chociaż nie z podwieczorku.

Niezadługo pożegnały panienki młodego. Kazi czas było na lekcyą — a Felicja pragnęła swój bukiet co rychléj w wazonie umieścić.

Panna Miłoszyńska była w jéj pokoju i Felicja z przepełnioném sercem, odłożywszy bukiet, rzuciła się w jéj objęcie, które jéj za macierzyńskie starczyło.

— Cóż to, dziecko?

— Och moja droga, kochana! — szeptało dziewczątko, kryjąc zarumienioną twarzyczkę na jéj ramieniu.

— Cóż to, moja duszko?

— O bo i niewiem...

— Ale cóż przecie?

— Nie umiem powtórzyć... tylko czuję...

Panna Miłoszyńska uśmiechnęła się, zrozumiawszy po części co zaszło.

— Czyliż się oświadczył pan Lucjan? zapytała z cicha.

— Och nie! — lica panny szkarłatny pokrył rumieniec tylko... tylko... tak coś mówił... o kwiatkach zerwanych, zwiędłych, porzuconych... zdeptanych... zastosował to do serca... a głos jego taki był miękki... Nieśmiałam oczów podnieść— i w dłoniach różowe ukryła lica.

Panna Marcella z uśmiechem kiwnęła głową — i pocałowała ją w czoło.

— Przenikało mnie — mówiła Felicja znowu — że mi o panu Edmundzie przymówił, gdy wyrzekł: że jesteśmy bez litości niekiedy dla serca drugiego...

— Dziecko! — On w téj chwili ani wiedział, że jakiś pan Edmund żyje na świecie! — przytuliła ją guwernantka do siebie.

— Czy tylko?

— Wierzaj mi. Ale powtórz wszystko dokładnie jak było.

Panienka pokraśniała uśmiechnęła się, zacisnęła dłońmi oczy, a potém powtórzyła Lucjana rozmowę. Myślą jednak nie jeden przepomniała wyraz, przechowało go serce choć usta wypowiedzieć nie umiały.

Panna Miłoszyńska słuchała z uwagą, z wyrazem zadowolenia — potém wyrzekła:

— To był pierwszy oddźwięk głębokiego uczucia, głos serca! A lękał się powiedzieć więcéj. Ceńmy tę podniosłość duszy młodzieńczéj, tę czystość uczuć! Nie poziom nim rządzi.

Po świeżem licu dziewczęcia przemknął wyraz silnego wzruszenia.

Panna Miłoszyńska pocałowała ją znowu, i do drugiego udała się pokoju, gdzie na nią Kazia czekała.

Felicja posiedziała chwilę. Potém powstała i bukiet w swój piękny ułożyła wazon. Kwiatów było za wiele, i spory odsunęła ich pęczek; włożyła jednak wszystkie podane jéj przez Lucjana — nawet i nieładne.

Po obiedzie wóz żniwny powiózł całe towarzystwo Zieminskie do lasu. W umówioném miejscu zastali już państwa Żarlińskich z dwiema córeczkami będącemi w wieku, pomiędzy Felicją a Kazią, zostających na jednéj z pensyj warszawskich, a obecnie na wakacje do domu przybyłych. Niebawem nadjechał i pan Gorewicz z kilku jeszcze panami. Rozłożono dywan na ziemi i ustawiono podwieczorek suty. Wesoła gawędka, śmiechy i śpiewy wśród wiekowych odgłaszały się dębów.

Następnie rozbiegło się towarzystwo po lesie, szukając grzybów. Pan Lucjan towarzyszył pannie Miłoszyńskiéj, bo przy niej były panienki. Ciągle z nią rozmawiał i niósł jéj koszyczek z grzybami, jak ongi Tadeusz za Telimeną.

Las był przepiękny, powietrze rozkoszne. Panienki wyglądały jak urocze dziewice gaju. Lucjan czuł się ponad wyraz szczęśliwym.

Niezadługo rozpierzchły się dziewczątka wśród cudnéj zieleni, więc pozostał sam tylko z guwernantką, i koszykiem. O smutne godło!

Rozmawiając we dwoje szli daléj a daléj. W tém przed ich wzrokiem odsłonił się widok z zielonym parowém, na dnie którego wartki toczył się strumień: młyn wodny, a poza równym polem Ziemin w ładnym obrazku.

— Patrz pan! — zawołała panna Miłoszyńska — jaki ładny prospekt.

— Śliczny!

— Zdejm pan ten obrazek.

— Jutro zaraz.

— Ziemin ładne ma pozycje.

— Ziemin jest rajem! — zawołał młody entuzyasta.

Panna Marcella uśmiechnęła się znacząco.

— I najsmutniejsza okolica rajem być może, jako też i piękna przemienić się w piekło. Bo raj i piekło na ziemi tworzą ludzie jedynie. Ziemin jednak naprawdę jest rajem, bo w nim rezydują anioły! — wymówiła z przyciskiem, unosząc głowę.

(d. c. n.)